



Zapiski Artystki

Antygona w Nowym Jorku

■ MARTA BIZON

Kiedy wczoraj zapalałam świeczki na grobach moich dziadków, dziękowałam Bogu za szczęście jakie mam. Czegoż więcej mi w życiu potrzeba? Mam rodzinę, dom, pracę i świadomość, że jest ktoś, kto i dla mnie kiedyś zapali świąteczną lampkę. Łza zakręciła mi się w oku na myśl o tych wszystkich ludziach, o których nikt nie dba za życia, a i po śmierci nikt o nich nie pamięta. Od zawsze drzemało we mnie poczucie niesprawiedliwości i współczucia dla innych, ale kiedy w ostatni piątek obejrzałam na scenie Teatru Ludowego spektakl „Antygona w Nowym Jorku”, obudziła się we mnie złość, bunt i żal. Oglądałam dramat trójki bezdomnych ludzi owładniętych niemocą, nałogami i odnajdujących szczęście w szaleństwie. Zatraciłam granice pomiędzy fikcją a rzeczywistością. Nie siedziałam na widowni, ja byłam w samym środku tej tragicznej historii. Czułam zimno, różne zapachy i smak wypijanej mieszanki alkoholowej. To było katharsis, a przecież oglądałam na scenie swoich kolegów, których – jak mi się wydawało – przez 10 lat wspólnej pracy poznałam jak własną kieszeń. Beatka Schimscheiner, Andrzej Franczyk, Jacek Wojciechowski i Jerzy Fedorowicz pokazali prawdziwe mistrzostwo. Zapomniałam, że są aktorami. Widziałam natomiast Anitę, Saszę i Pchelkę, którzy próbowali mi uświadomić, że obok mojego szczęśliwego życia toczą się ludzkie dramaty, na które ja też mogę mieć wpływ. ●